

OSTATNIA DROGA BOLESŁAWA BIERUTA

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się

Wyd. A.

Głos

KOSZALIŃSKI

ORGAN KOMITETU WOJEWÓDZKIEGO PZPR

Cena 20 gr. 17-18 marca 1956 roku Rok V. Nr 66 (1078)

Warszawa oddała hołd pamięci Bolesława Bieruta

WARSZAWA. Setki tysięcy mieszkańców Warszawy, przedstawiciele wszystkich sił Polski, delegacje z zagranicy wzięły 16 bm. udział w uroczystościach związanych z pogrzebem i sekrecją KC PZPR Bolesława Bieruta.

Zgromadzeni wzdłuż ulic, którym przecięła gwałtownie pogrzebowy, zebrani w wielkim zgromadzeniu żałobnym i na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach oddali hołd pamięci wielkiego syna narodu polskiego, czołowego bojownika o sprawę klasy robotniczej.

Ostatnią wartę honorową przy trumnie ze zwłokami Bolesława Bieruta pełnili najbliżsi współpracownicy zmarłego — członkowie Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR.

Godz. 10 rano. Sekretarze komitetów wojewódzkich partii wynoszą na ramionach trumnę. Od wrót gmachu KC PZPR do stojącej na dziedzińcu lawety armatniej odkrytej czerwienią i czernią — szpaler generałów Wojska Polskiego. Rozlegają się dźwięki marsza żałobnego Chopina. Zebrani na dziedzińcu i przed gmachem odkrywają głowy. Generałowie ustawiają trumnę na lawecie i okrywają ją sztandarem o barwach narodowych. Na sztandarze — wianki czerwonych goździków.

Kondukt rusza. Na jego czele pociąg sztandarowy Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dalej sztandary stronnictw politycznych i organizacji społecznych, sztandary komitetów wojewódzkich PZPR, setki delegacji z wieszcami — od rodziny, od Komitetu Centralnego PZPR, Rady Państwa, Rządu, Sejmu, Wojska Polskiego, od zagranicznych partii komunistycznych i robotniczych, od załóg robotniczych i pracowników warszawskich fabryk i instytucji.

Idą oddziały wojska różnych rodzajów broni — za nimi czołowy oddział polskiej klasy robotniczej — górnicy śląscy w czarnych galowych mundurach. Tuż przed zaprzężoną w czwórke karnych koni lawetą, niesione są najwyższe odznaczenia Bolesława Bieruta: order „Budowniczych Polski Ludowej”, Krzyż Grunwaldu i klasy i inne.

Za trumną — najbliższa rodzina Zmarłego, po czym członkowie Biura Politycznego KC PZPR: Jakub Eerman, Józef Cyrankiewicz, Władysław Dworakowski, Franciszek Jóźwiak-Witold, Franciszek Mazur, Hilary Minc, Zenon Nowak, Edward Ochab, Konstanty Rokossowski, Roman Zambrowski, Aleksander Zawadzki, następcy członków Biura Politycznego KC PZPR.

Wśród członków Biura Politycznego KC PZPR postępują za trumną: członek Prezydium Rady Najwyższej ZSRR i sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego — Nikita Chruszczow oraz członek Sekretariatu Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin, zastępca przewodniczącego Chińskiej Republiki Ludowej — marszałek Czu Teh.

Idą członkowie Rady Państwa i wiceprezisi Rady Ministrów.

W konduście żałobnym kroczą delegacje zagraniczne, przybyłe na uroczystości pogrzebowe z Albanii, Anglii, Austrii, Belgii, Bulgarii, Chin, Czechosłowacji, Danii, Finlandii, Francji, Hiszpanii, Holandii, Izraela, Jugosławii, Kanady, Libanu, Luksemburga, Mongolii, Niemiec, Norwegii, Rumunii, Syrii, Szwajcarii, Szwecji, Węgier, Włoch, Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Następnie — członkowie Komitetu Centralnego PZPR, ministrowie, sekretarze komitetów wojewódzkich PZPR, członkowie władz naczelnych Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego oraz organizacji społecznych, weterani ruchu robotniczego.

Widzimy w konduście szefów i attachés wojskowych szeregu przedstawicielstw dyplomatycznych akredytowanych w Warszawie.

W długich szeregach — dla łączy Frontu Narodowego oraz najwybitniejsi przedstawiciele polskiego świata nauki i kultury, generałowie, czołowi prrodownicy pracy, delegacje, k-

Ciąg dalszy nast.



Godz. 10.45. Hołd zebranych przy głośniach stale wzrasta. Stoją matki z dziećmi, starcy, żołnierze, mężczyźni w poplamionych robotniczych bluzach i młodzież. Wszyscy czekają. Umiłki rozmowy. O godz. 11 z głošníków rozległy się pierwsze głosy syren.

Zgromadzenie żałobne ludu Warszawy Przemówienie Aleksandra Zawadzkiego

Towarzysze, obywatele miasta Warszawy, bracia i siostry w całym kraju!

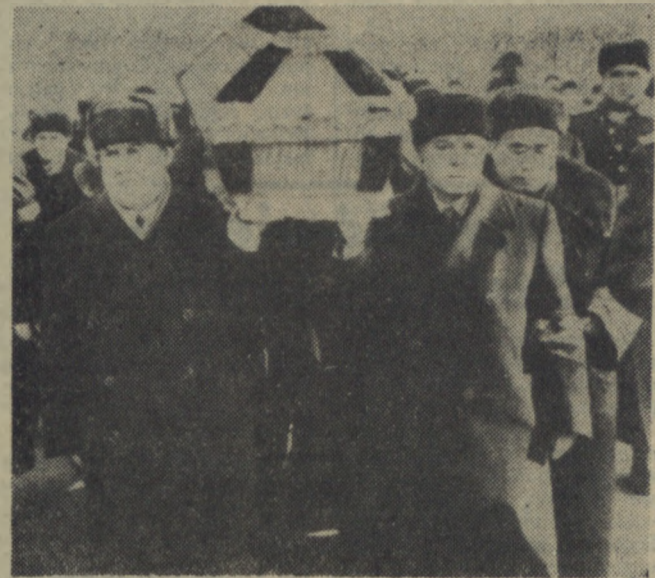
W imieniu Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Rady Państwa i rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oświadczam żałobnie zgromadzeniu ludu Warszawy z udziałem delegacji wszystkich województw.

W ostatnią swą drogę wyruszył Bolesław Bierut, wielki i oddany syn swego narodu. Odprowadza Go w żalu cały lud i młodzież ukochanej przez Niego Warszawy, odprowadza serdeczną myślą i uczuciem jak kraj długi i szeroki cały naród polski skupiony we Froncie Narodowym. W sercach milionów Polaków, w sercach młodzieży i działaczy polskiej Bolesław Bierut zapisał się zgłoszami znaczącymi gorącym biciem własnego serca, patriotycznym czynem całego swego życia.

Umarł Bolesław Bierut, ale żyje zwarta jak monolit nasza partia, Polska Zjedno-

czona Partia Robotnicza, której był czołowym działaczem

wa, której powstaniu, rozwojowi i krzepnięciu tyle o-



Z UROCZYSTOŚCI ŻAŁOBNYCH W MOSKWIE
Na centralnym lotnisku w Moskwie, w dniu 14 marca 1956 roku. Trumnę ze zwłokami Bolesława Bieruta niosą: N. A. Bulganin, K. J. Woroszyłow, marszałek Czu Teh i inni.

i przywódcą, żyje i mnoży swe siły i swe znaczenie w świetle nasza Polska Lud-

fiarnego wysiłku poświęcił, żyje w zwycięskim pochodzie przez glob ziemski nasza

wielka idea socjalizmu, której tak gorącym bojownikiem był Bolesław Bierut.

Toteż wszędzie słowom smutku i żalu towarzyszą nam myśli i słowa przyrzeczenia: „Strzec jak źrenicę oka, zdobywszy ludu polskiego, umacniać wszechstronnie ukochaną ojczyznę — Polskę Ludową, pracować jeszcze lepiej i wydajniej dla szybszej poprawy warunków materialnego i kulturalnego bytu mas pracujących naszego kraju, pogłębiać przyjaźń naszego narodu z narodami Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, Chińskiej Republiki Ludowej, z wszystkimi krajami demokracji ludowej, z wszystkimi pragnącymi pokój narodami świata”.

Umarł Bolesław Bierut, lecz pamięć o Nim pozostanie w naszych sercach na zawsze.

Wieczna chwała pamięci naszego Drogiego Towarzysza i Przyjaciela — Towarzysza Bolesława Bieruta!

Przemówienie Józefa Cyrankiewicza

Bolesław Bierut wraz z partią tworzy podstawy przyszłej Polski Ludowej. W sylwestrową noc 43 roku przewodniczy pierwszemu zebraniu Krajowej Rady Narodowej. Po ulicach miast Polski chodzi jeszcze okupant, a w małym mieszkaniu przy ulicy Twardej Bolesław Bierut tworzy pierwszą władzę ludową Rzeczypospolitej.

Było w tym wydarzeniu przejęcie przez polską klasę robotniczą sprzymierzoną z chłopami pracującymi i najlepszą częścią inteligencji — prawego dziedzictwa wszystkich powstań narodowych od Kościuszkowskiej Insurekcji aż po tajny rząd narodowy roku 63-go.

Albowiem w tę ostatnią noc roku 43-go narodziła się nowa, wielka koncepcja państwa polskiego, państwa ludowego, państwa związanej z obozem rewolucyjnym i postępu, a zarazem opartej o prawdziwą polską rację stanu.

Miało to być państwo odmiennie całkowicie od tej szlacheckiej Polski, od polskiej chłopskiej krzywdy, od tej polskiej, która runęła w końcu XVIII stulecia zniweczona egoizmem i sprzedanością polskiej magnaterii. I miała to być Polska inna od tej, która runęła, we wrześniu 1939 roku zaprzęszona przez egoizm, sprzedaność i nicość polskiej burżuazji i polskiego obszaractwa. I taka właśnie inna, nowa Polska narodziła

się w pamiętnym lipcu 44-go roku w Chełmie i Lublinie.

W parę lat potem, po latach ogromnego wysiłku całego narodu polskiego, w budowie nowej, silnej, uprzemysłowanej Polski, mógł Bolesław Bierut wyrazić myśli i uczucia całego narodu, gdy mówił, że minął i nie wróci nigdy wrzesień 1939 r., że Polska przestała być krajem słabym, zacofanym i bezbronny.

W owych latach Bolesław Bierut wyprowadził pierwszą władzę Polski Ludowej z podziemia konspiracyjnego na widownię wolnego życia politycznego kraju. Stanął też na czele pierwszej po wyzwoleniu polskiej władzy. I odtąd każdy dzień Polski Ludowej nieodłącznie się przy Jego nieodłącznym, twórczym współdziałaniu.

Ażby to jednak było możliwe, ażeby dokonano się dzieło, podźwignięcia naszej ojczyzny, trzeba było dziesięciolecie nieubłaganej walki polskiej klasy robotniczej, polskich mas pracujących. I trzeba było partii, która by w tej walce przewodziła. Była taka partia, jej dowódca prowadził od Wielkiego Proletariatu, poprzez SDKPiL i PPS-łewicę do Komunistycznej Partii Polski. W jej szeregach Bolesław Bierut uczył się rewolucyjnie, uczył się walki, uczył się polityki. Była to wielka szkoła, bo była to wielka partia. Wpędzona w podziemia konspiracyjne, prześladowana i bezlitośnie gnębiona, potrafiła przez 20 lat stawić czoła rodzimej reakcji i skutecznie wespół z jednolitofrontowymi elementami PPS, pociągając za sobą lewicowych ludowców — mobilizować masy do walki z faszyzmem polskim i międzynarodowym. Jeśli, mimo zacieklej prześladowań, potrafiła trwać i walczyć, to przede wszystkim dlatego, że jej trzon stanowili ludzie, którzy wychowali się na wielkich wzorach bratniej leninowskiej partii. Jasno widzieli związek losów Polski, ludu polskiego i socjalizmu polskiego z losami rewolucji rosyjskiej ludźmi, którzy walczyli u boku proletariatu rosyjskiego na barykadach rewolucji 1905 roku i 1917 roku, stwarzając nierozdzielny więź między rewolucyjną Polską, a narodami rewolucyjnej Rosji. Wspaniałą kadre rewolucyjną wychowała Komunistyczna Partia Polski. Kadre, której nikt i nic nie potrafiło złamać. Kadre godną polskiej klasy robotniczej, tak jak Polska wspaniała klasa robotnicza godna była nieść sztandar rewolucji, sztandar nowej Ludowej Polski. Z takiej to szko-

ly wyszedł Bolesław Bierut i Jego towarzysze, którzy w oku pacyną noc odbudowywać zaczęli partię i budować zaczęli ludową państwowość wespół z lewicowymi socjalistami i lewicowymi ludowcami i demokratami w robotniczo-chłopskim sojuszu.

Nosimy wszyscy w sercach pamięć Bolesława Bieruta — prezydenta Krajowej Rady Narodowej — prezydenta Rzeczypospolitej — sekretarza generalnego Polskiej Partii Robotniczej — przewodniczącego Komitetu Centralnego Zjednoczonej Partii — prezesa Rady Ministrów — pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Każdy z tych posterunków mówi o ogromnym wysiłku twórczym umysłu, woli, uczuć i charakteru, o niespożytej wręcz energii i płonącym entuzjazmie człowieka, który z konspiratora rewolucjonisty przeobraził się w męża stanu. Bolesław Bierut był wyrazicielem dumy narodowej w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa. Nie tylko marzył o zaszczytnym dla Polski miejscu w Europie i świecie, ale ogromnie się przyczynił do realizacji tych dążeń przez naród, do takiego wkładu Polski na arenie międzynarodowej, który toruje drogę do umacniania przyjaznych stosunków między narodami.

Towarzysz Bolesław Bierut był nieodrodnym synem polskiej klasy robotniczej, nie szczędził swych sił, aby przodowała narodowi, aby otworzyła nowy rozdział w dziejach narodu. Dane Mu było zaszczytnie uczestniczyć w wielkim dziele, o którym marzyły pokolenia polskich rewolucjonistów — aby niespożyte siły tkwiące w narodzie postawić w służbie nie jednej klasy uprzywilejowanej — jak to było dawniej — szlachty czy burżuazji lecz wszystkich ludzi pracy, wszystkich prostych ludzi, których los, których troski i radości były Mu takie bliskie i drogie.

Minione dziesięciolecie, wielkie to były ale i trudne lata i nigdy nie zapomniemy udziału w nich Bolesława Bieruta. Tkwi jak żywa wciąż w naszej pamięci sylwetka Jego na trybunach 1-majowych pochodów, gdy swym charakterystycznym ruchem ręki pozdrawiał manifestujących, pamiętamy Go na mównicy zjednoczeniowego zjazdu, gdy obwieszczał uroczysty moment zwyciężenia po

Ciąg dalszy nast.



U PREZYDENTA

STARZA już kobieta szła wolno, co pewien czas przekładając ciężką torbę z ręki do ręki. Na ulicy Mickiewicza, przed gmachem Komendy Wojewódzkiej MO zatrzymała przechodzącego mężczyznę.

Nie znali się dotąd Maria Kruszyńska — bo to o niej mowa — widziała go bodaj że po raz pierwszy w życiu. Nie zawahała się jednak ani na moment, czy to wypada... Rano, na wiadomość o śmierci Bolesława Bieruta, spłakała się jak bóbr. Teraz, patrząc na przesłonięty kirem portret Zmarłego, czuła potrzebę wyzalenia się przed kimś, podzielenia swoim bólem i wspomnieniami...

Był to rok 1951. Maria Kruszyńska, autochtonka z Koszalin, miała wielki kłopot. W Miejskiej Radzie Narodowej nie chcieli uznać jej prawa do własności budynku przy ulicy Gen. Berlinga.

— Dokumenty ponemieckie — stwierdzono autorytatywnie. — Trzeba było postarać się o polskie nadanie i wszystkim byłoby w porządku...

Kruszyńska nie znała przepisów. Czuła jednak, że dzieje się jej krzywda, że tu, w Koszalinie, zbyt pochopnie rozstrzygnięto sprawę. Gdy wszelkie interwencje na miejscu nie przyniosły rezultatu, rozgoryczona postanowiła bronić swej sprawy nawet przed najwyższą instancją — przed Prezydentem Polski.

Onieśmielona wielkomięskim ruchem, a potem towarzystwem wielu wysokich osobistości, które spotkała w poczekalni Prezydenta, wierzyła jednak gorąco, że właśnie tam, w gabinecie Bolesława Bieruta do czeka się właściwej decyzji.

Dopiero przekraczając próg gabinetu zdała sobie sprawę, że przecież tu codziennie rozstrzygają się wielkie sprawy, że przecież Bolesław Bierut ma tysiące spraw, tysiąc razy ważniejszych. Jej dom przy ulicy Berlinga, o który walczyła z takim uporem wydał się jej nagle nic nie znaczącym drobiazgiem, którym nie

potrzebnie zwracała ludziom głowę. I jeszcze teraz odważyła się na taki krok. Co powie Prezydentowi? Może lepiej byłoby wrócić?

Na szczęście nie miała już czasu na dalsze rozmyślenia. Zza biurka powstał Bolesław Bierut, serdecznie przyjął gościa i... osmielił. Tak, osmielił. To było ważne, bo nasza Kruszyńska czuła już, że nie wykrztusi z siebie słowa, że nie potrafi skłecić zdania.

Zapytana o Koszalin, o życie jego mieszkańców i o swoją sprawę, szybko poczuła się swobodniej, zrozumiała, że tutaj może śmiało mówić i każda sprawa zostanie wysłuchana.

Wizyta w gabinecie Prezydenta nie trwała długo. Na całe życie jednak pozostawiła w pamięci Kruszyńskiej pogodną, dobrotliwą twarz, na całe życie utrwaliła w Kruszyńskiej głębokie przekonanie, że tam, w dalekiej Warszawie są ludzie, którym troska każdego obywatela jest bliska.

Z lekkim sercem wracała do Koszalin. Wiozła ze sobą odzyskane prawo do budynku i wiarę w ludowe państwo. Własne doświadczenie przekonało ją, że jest pełnoprawnym obywatelem, któremu nie może stać się krzywda.

Kruszyńska opowiadała krótko. Może dlatego nie znajdziecie barwnych opisów jej przeżyć i wzruszeń z pobytu w stolicy. Jej proste, szczerze słowa zajęły jednak nieznanego tak bardzo, że mimowoli odprowadził ją aż pod dom. Ba, jeszcze przy furtce stall pewien czas, wspominając sylwetkę Zmarłego.

Zegnali się już jako dobrzy znajomi. Razem przeżywał jeszcze raz audiencję u Prezydenta, równie mocno dotknęła ich bolesna strata.

L. F.

KUPIŁEM ten płaszcz wiosną 1944 roku. Ciepły marzec wykluczał noszenie futra, akcje zaś były teraz takie, że należało chodzić z automatem. Właśnie niedawno przybyło nam nowe empi, typ 1941 rok, prądkowane. Moja brązowa, skórzana kurtka nie nadawała się do noszenia automatu, była za krótka. Musiałem więc kupić długi płaszcz. Z „Agawą” czy z „Karlolem” — dziś już nie pamiętam dokładnie — w każdym bądź razie z kimś, kto znał się na „sprawach”, poszedłem na Kercelego.

Na ręku jednego z handlarzy, jakich setki kreciło się na ówczesnym placu Kercelego, wisiał niedbale płaszcz, który nam szczególnie odpowiadał. Długi, z brezentowego, szarego płótna, sztywny i obszerny.

— Ten będzie dobry — powiedział towarzyszący mi kolega.

Nie pamiętam już przemyślnych handlarzskich zapewnień z mojej strony, że bardziej zniszczonego łacha nie ma na pewno na placu Kercelego, i — ze strony handlarza — że takiego drugiego nie znajdzie w całej Warszawie. Po kilku odchodzeniach, powrotach — kupiłem.

Płaszcz nadawał się wspaniale, na wet nosząc pod nim empi, mogłem uchodzić za najzgrabniejszego kawalera na Marymoncie. Płaszcz był sztywny, może troszeczkę za długi, ale trudno — jak na mój wzrost, empi było też trochę za duże. Zaden płaszcz nie krył tak dokładnie i skutecznie automatu, jak ten. Wszystkie inne — płócienne czy eleganckie gabardynowe — „wysilbiały” wobec mojego brezentowego,

który nie wydawał się nawet tak ciężki, jak był w istocie.

Płaszcz używaliśmy w wielu akcjach. Wszyscy go pożyczali, oddając, chwaliłi. Aż dopiero „Ola” zwróciła uwagę, że płaszcz jest już za bardzo znany i nie powinienem go nosić bez potrzeby.

Zbliżał się dzień 22 czerwca. Wszystkie dzielnice przygotowywały się do akcji...

Z Jankiem, którego nazwisko Bida, uważaliśmy za przewisko, spotkałem się na pętli „czwórki”. Przyproceedził trzech chłopaków

z wielu możliwych w tym przekleństwem gracie zacięć. Wis z rozdętą łufą wywalił trzy magazynki bez zacięcia, lecz nie miałem już więcej amunicji. Leżeliśmy na ulicy jak zabici. Janek też już nie strzelał, reszta chłopaków zdążyła dobiec do placu Inwalidów. Zandarmit przerwał ogień i spokojnie podchodzili, by nas zabrać, zabitych lub rannych. Mieliśmy jeszcze obronniaki. Najpierw rzucił on, potem ja, potem znów on — a później... Później dołączyliśmy do reszty chłopaków i krętymi uliczkami Zoliborza, za Zoliborzem przez płaszczyste wydmy na Powązki, tam pod jakimś nagrobkiem schowaliśmy broń i osobno rozeszliśmy się do domów. Ja z Jankiem wracałem na Zoliborz.

Dopiero w drodze powrotnej spostrzegliśmy, że mamy poprzestrzelane ubrania. Ja miałem przestrze-

lony but, spodnie, płaszcz tylko w jednym miejscu; gorzej było z Jankiem, bo seria automatu odstrzeliła, jak uciął cały róg jego gabardynowego płaszcza.

Janek martwił się:

— Gość, który mi pożyczał ten płaszcz, dzisiaj wyjeżdża a nie ma innego.

— To daj mu na razie mój, tylko mi go potem oddaj, bo będzie potrzebny.

Umówiliśmy się za tydzień. Upłynęło kilka tygodni. Janek Bida zginał w Markach, drugi Janek po-

szedł do partyzantki. Ja w czasie powstania byłem na Pradze — przeszedłem front i w Garwolinie spotkałem pierwsze plakaty PKWN. Potem był front, wojskowy płaszcz i nie zacinające się pepesze — a potem wróciłem do cywila.

Pracowałem jako dziennikarz w jednym z miast wojewódzkich. Zrywałem się po nocy, żeby zdążyć na pociąg i nad ranem wracałem z terenu. Normalne, powojenne życie i normalne kłopoty. Zona, dzieci, ubranie, zelówki, buty, pensja pierwszego i znów pierwszego.

Zbliżała się wiosna i — jak zwykle wiosną — gospodarskie obrachunki: żonie potrzebne były pantofle i jakaś letnia sukienka, dla dzieci też coś, a dla mnie spodnie i płaszcz. Janka, moja żona, która znała mnie jeszcze z okresu okupacji, powiedziała:

— Wiesz co, Józef, do tego jed-

dzenia świetnie nadawałby się ten twój płaszcz, no wiesz, który... Ten, co go pożyczylesz.

Prawdę powiedziawszy, zdążyłem o tym płaszczu zapomnieć. A jeśli nawet nie zapomnieć, to w każdym razie nie liczyć go już więcej w inwentarzu. Tym razem przypadek szedł mojej żonie na rękę. Oto niespodzianie spotykam na ulicy Janka, też już w cywilnym stroju. Rozmawiamy, wspomniamy stare dzieje i w pewnej chwili Janek pyta:

— A ten płaszcz — wiesz który — dostałeś?

Machnąłem ręką.

— Nie, nie — zapobiegał kolega — to tylko moja wina. Na śmierć zapomniałem podać ojcu twój adres. To się zrobi.

Tak mu się nagle zaczęło spieszyc, że ledwo się pożegnał.

Po kilku dniach pod dom zajechało auto i dyrektor Okręgowej Dyrekcji Poczty i Telegrafów osobiście wręczył mi list.

Nadawca: Bolesław Bierut, Belweder. Zdumiałem się. Sprawdziłem adres — jednak do mnie. Podziękowałem okrogowemu dyrektorowi za doręczenie listu. W liście... „Bardzo przepraszam, nie wiedziałem, gdzie was szukać. Dlaczego nie zgłosiłście się wcześniej? Przesyłam wam przekaz, który — o ile nie wyrówna wartości tamtego płaszcza...”

Kupiłem sobie drugi płaszcz — elegancki, gabardynowy, nie tak sztywny.

Powinnołem odpisać i podziękować. Wybaczcie.

PŁASZCZ

JÓZEF KUSMIEREK

Głosy w dyskusji

„Przegląd kulturalny” czy „Starogdańska baśń?”

Artykuł Władysława Turowskiego pt. „Nie czekajmy na Chopina” nawiązujący do dyskusji, jaka toczy się na łamach „Głosu Tygodnia” porusza szereg zagadnień kulturalnych, które — sędzę — należałoby omówić szerzej, naświetlić ich najbardziej istotne aspekty, znaleźć rozwiązania praktyczne, mogące w naszych warunkach dać w jak najkrótszym czasie zamierzone efekty.

Jedną z przyczyn, hamujących rozwój kultury w terenie, są zbyt często sztywne metody jej wprowadzania. Jednolity instruktaż, przenoszony w teren przez ludzi, do akcji tej niejednokrotnie powierzchownie tylko przygotowanych, „przyuczonych”, wielo- i pustosłowie zebrań organizacyjnych i „odfajkowanie” wykonanej rzekomo akcji w jakimś tam sprawozdaniu — nie może pretendować do rzetelnej akcji kulturalnej. Dretwa mowa rodzi tylko dretwy czyn.

Należy zdać sobie sprawę z tego, że kultury nie stworzy żadna choćby najliczniejsza i najlepiej wynastrowana ekipa pracowników kultury, jeżeli w samym społeczeństwie nie znajdzie się dostateczna ilość jednostek twórczych, dostateczna ilość twórczy i platforma publiczna, gdzie by to tworzywo mogło być przez autorów eksponowane, gdzie by w ogniu prawdziwych dyskusji otrzymało swój pożyteczny i społeczny „szlif”.

Cieszymy się wszyscy, iż w Koszalinie, wysiłkiem władz i miłośników muzyki powstała orkiestra symfoniczna. Ale jak pisał autorka artykułu „Początek symfonii” — większość muzyków dojeżdża na próby z różnych miast. Czyż ci wszyscy muzycy nie powinni być przeniesieni do Koszalina? Każdy z nich swoją pracę zawodową może w powodzeniem wykonywać w mieście wojewódzkim, tak po prostu w powiatowym.

My tu, na Ziemiach Zachodnich, jesteśmy w specyficznych warunkach. Specyficzne są również nasze zadania budowania kultury i to w pewnym sensie od podstaw. Ludność naszego województwa, to w przeważającej większości ludność rolnicza. Kino i rzadkie występy teatrów objazdowych, występy zespołów amatorskich, gazetki ścienne, będące często marzną plasną (malowane i pisane przeważnie przez jednego autora), trochę rozrywek sportowych — to bez mała wszystkie objawy pracy kulturalnej na wsi. I to tylko okolicznościowo — niejako „od święta” i dla większych ośrodków.

Ziemia te od tysiącleci były słowiańskie. Prawem dziełom wrócić do nich, by je obić w posiadanie. Ale wróciliśmy jako ludność napływowa, nie związana bezpośrednio ciągłością rodową tych ziem. Naturalna psychologia ludności wiejskiej, szczególnie starszej, tkwiącej jeszcze wspomnieniami w nie- zbyt dawno opuszczonych dawnych miejscach pobytu, nieco odmienne warunki życia niż dawniej, poważny wpływ młodzieży wiejskiej do ośrodków miejskich, płynność kadr również w ośrodkach i instancjach kulturalnych, różnice pomiędzy tradycjami, obyczajami i kulturą ludności autochtonicznej i napływowej, wreszcie wroga płotka powodowa — i nadal powodują, iż nie zrosiliśmy się jeszcze z tą ziemią tak jakby należało. Jak wymaga tego od nas sytuacja gospodarcza i polityczna. Czynniki

te określają też nasze poważne trudności w tej pracy.

Musimy więc sięgnąć do najgłębszych pokładów słowiańskości tej ziemi.

Inne dzielnice Ziemi Zachodnich już to realizują. W Olsztynie od prawie roku żyje i rozwija się dobrze prowadzony periodyk „Mazury i Warmia”. Historia i archeologia, dokumentacja kultury i tradycji Mazurów, ich pieśni, tańce i obyczaje, wieloletnie walki z germa-

nizacją, pulsujący życiem obraz przeszłości integralnie związany z dniem dzisiejszym — oto jego tematyka. Wokół miesięcznika wyrósł i skupił się aktyw literacko-artystyczny z terenu całego województwa. Pismo tworzy nową kulturę swojego regionu. Czy Koszalin nie mógł by się zdobyć na coś podobnego? Już najwyższy czas, aby to urzeczywistnić.

Prasa codzienna, nawet z dobrze redagowanymi nledzielnymi wkładkami kulturalnymi, nie może oczywiście spełniać i nie spełni tych wielostronnych zadań. Mogą to uczynić tylko popularyzarnie opracowane periodyki i broszury. Np. „Przegląd Kulturalny”, prowadzony na wysokim poziomie, rzucony

masowo na nasz teren, nie spełniłby żadnego z zamierzonych celów. Dlatego właśnie m. in., że jest prowadzony na poziomie nie zawsze dostępnym dla najszerszego czytelnika, ale „Starogdańską baśń” Fenikowskiego, każdy przeczyta ze zrozumieniem i sercem. A tysiące takich baśni, tysiące historycznych opowieści i innych dowodów odwiecznej polskości tych ziem eksponowanych w naszych muzeach, mogą niewątpliwie przyczynić się do ożywienia życia kulturalnego naszego województwa i do jeszcze ściślejszego zespolenia się jego ludności z tą ziemią. Lecz aby cel ten osiągnąć, nie wystarczy sam Chopin — nawet żywy.

EDWARD CYLWICKI

Młodzi plastycy odpowiadają...

PRZED trzema tygodniami ob. Siennicki artykułem pt.: „Kolor, linia i... cienie”, zapoczątkował dyskusję na temat młodej plastyki koszalińskiej. Inicjatywa słuszna — gdyby nie fakt, że autor operując mylnymi informacjami, spowodował niesłuszne, a czasem wręcz krzywdzące innych plastyków wypowiedzi na łamach „Głosu Koszalińskiego”. Mając na względzie dobro rozwoju kultury plastycznej, my młodzi plastycy chcemy wyjaśnić:

Niedobrze jest, że dyskusję na ten temat rozpoczął plastyk, który aczkolwiek jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków, to jednak w dotychczasowej pracy nad zorganizowaniem życia plastycznego nie brał udziału i nawet nie starał się sprawdzić, czy informacje na ten temat, umieszczone w jego artykule są prawdziwe. Konsekwencją tego artykułu są wypowiedzi dalszych dyskusantów, bazujące niestety, na omyłwym artykule. W rezultacie mamy mylne interpretowanie działalności młodych plastyków na tutejszym terenie.

Praca plastyka nie ogranicza się wyłącznie do malowania obrazów na wystawy i urzędowania nad nimi dyskusji. Działalność plastyka, to czynny udział w twórczym życiu społecznym i kulturalnym.

Jak więc postulat ten realizujemy?

W ciągu naszej półtorarocznej działalności zorganizowaliśmy w Koszalinie delegaturę Pracowni Sztuk Plastycznych (przedsiębiorstwo państwowe) i oddział Związku Polskich Artystów Plastyków. Niejeden z czytelników być może zada sobie pytanie, dlaczego młodzi plastycy w pierwszym okresie swego pobytu zajęli się organizowaniem tych instytucji?

OSIEDLAJĄC się na terenach, które były tzw. „białą plamą” na niwie kultury plastycznej, zdawaliśmy sobie sprawę, że akcja o rozwój życia kulturalnego da tylko wtedy rezultaty, gdy formy jej będą zorganizowane. Właśnie te instytucje kulturalne jak ZPAP i PSP w oparciu o miejscowe władze umożliwiają pełne zrealizowanie powyższych zamierzeń.

Związek Polskich Artystów Plastyków, jako związek twórczy, zreszta dyplomowanych artystów plastyków, zapewnia opiekę nad ich twórczością, czuwa nad stanem i rozwojem plastyki, a zarazem zobowiązuje swoich członków do czynnego udziału w życiu społecznym i kulturalnym poprzez upowszechnianie sztuk plastycznych, urządzanie wystaw, odczytów i dyskusji, opiekę

nad ruchem amatorskim, sztuką ludową itp.

Natomiast pracownie sztuk plastycznych zostały utworzone dla zlikwidowania tandety plastycznej wykonywanej przez przygodnych „klusowników plastycznych”. Jest tak dlatego, ponieważ dysponują one wyłącznie zawodowymi plastykami — członkami ZPAP, zaś nad poziomem wykonywanych przez nich prac czuwają kolegia rzeczoznawców i komisje artystyczne, tak na szczeblu oddziału, jak i centralnym. Ponadto w PSP zgodnie z zasadami naszej go spodarki narodowej obowiązują urzędowy cennik zatwierdzony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i Państwową Komisję Planowania Gospodarczego, co obala zarzuty pewnej części społeczeństwa, że plastycy wykonują „słone” zamówienia i intratne roboty.

TAK więc zorganizowanie tych instytucji dało społeczeństwu gwarancję prowadzenia przez młodych plastyków słusznej polityki kulturalnej, zaś młodym plastykom, oprócz bazy materialnej — możliwość pracy twórczej dla dobra kultury narodowej.

Ponieważ są to sprawy nowe na naszym terenie, zamierzenia młodych plastyków napotykały na poważne trudności, jak np. brak mieszkań, pracownicy itd. Część ludzi sądzi, że młodzi plastycy nie wywiązują się z obowiązków wobec państwa i narodu, czemu dała wyraz autorka w poprzednim „Głosie Tygodnia”. A przecież ten tzw. „dług wobec społeczeństwa” to nie tylko wystawa obrazów, połączona z dyskusją, to — przede wszystkim każde estetycznie wykonane wnętrze świetlicy, dobre plansze, przekonywujący plakat, dobra dekoracja, ciekawa etykieta itp., to znaczy wszystko, co wykonują młodzi plastycy codziennie od dwóch lat. Być może, że to wszystko nie jest tak uchwytnie, jak wystawa obrazów, lecz przyczynia się do upowszechnienia sztuk plastycznych wśród naszego społeczeństwa. Wystawa prac jest podsumowaniem pewnego okresu twórczości artysty i ten nie może urządzić ich zbyt często. Wyłącznie urządzaniem wystaw swoich prac nie przygotowujemy społeczeństwa do odbioru dzieł sztuki. Postulat ten natomiast spełnia powoli, (ale za to stale) codzienna praca użytkowa młodych plastyków.

MŁODZI PLASTYCY ZIEMI KOSZALIŃSKIEJ
(następuje szereg podpisów)

P. S. Ponieważ w jednym artykule nie sposób omówić wszystkich spraw dotyczących młodej plastyki koszalińskiej, w następnym artykule będziemy chcieli zapoznać społeczeństwo z twórczością poszczególnych artystów, a także z warunkami w jakich żyją i pracują.

Franciszek Fenikowski

Polonez As-dur

Król z kamennego snu wyrwany nocą
na łązienkowskim moście konia wspina
i nadśluhuje jak szumi gęstwina,
gdy drzewa liści skrzydłami topocą,
a szum, jak ptactwo zrywa się, gęstnieje,
nad miastem płynie i ludzi onlembia...
Król nadśluhuje; oto mówi ziemia,
groźnym drzew szumem powtarzając dzieje.

W oknie lśni księżyc — guślarz i zaklina
wieniec postaci wokół pianina.

Słowa na wargach wędną nam jak róże,
a białe dłonie drząc na klawiaturze,
lata jak groby przeskakują lekko
i wołają Znikloną, Daleką.

A wiatr — słyszycie — przeleciał nad głową,
Zieloną chmurą widnokrąg się chmurzy,
przypląwa ku nam nawała dębowa
i grzmi... To ziemia idzie krokiem burzy!
To tysiąc kopyt podkowami błyska,
mnoży się pędem, lśni jak ciosy drwali,
million księżyców przez pyły chmuryjska
mieni się w oczach! Las dębów się wali!
Lecą w gałęziach zaplątane gwiazdy?
Niebo się wali w proch i jękem skarży?
Nie! To kopyta tylko polskiej jazdy
tratają serce me w zwycięskiej szarży.

Przeszła epoka. Twarz ukrywam w dłonie.

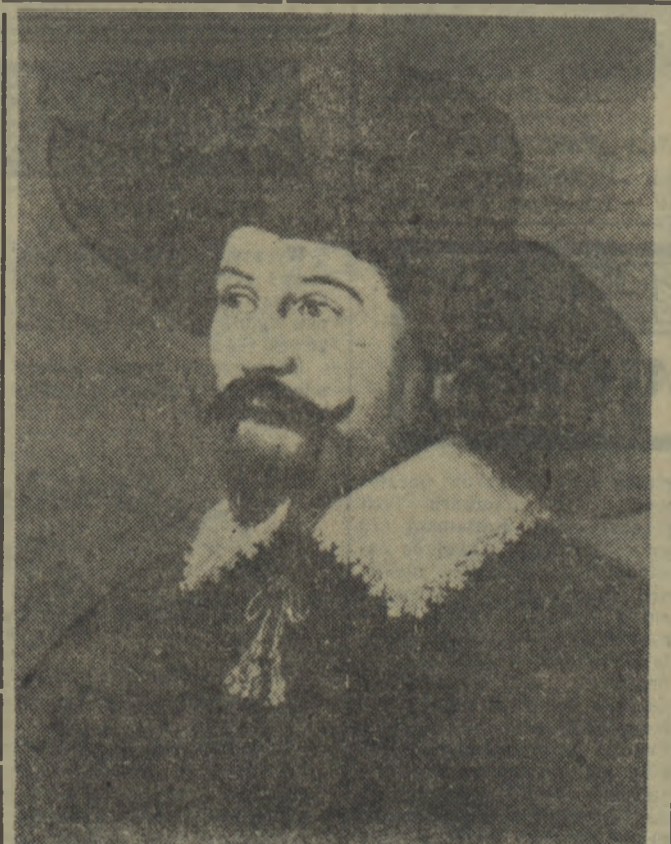
Za oknem nocą krok żandarma dzwoni.
Błąka się w mroku czyjś trwożny szept: „ciszej”,
a dłonie błądząc wśród białych klawiszy
dróg w świt szukają... Noc. Mgła nieprzebita.
Patrzmy w ciemność i każdy z nas pyta:

Kto idzie? Kroki w mgle listopadowej.
Olszyn się cienie snują z bagnetami...
Stój! To ty, Piotrze? Biały król nad nami!
Wskazuje drogę... Gotowy? Gotowy!
Liście szeleszczą dziś słowami ludzi.
Patrzcie: las młody wybiegł na ulicę!
Pędził polonez na śpiącą stolicę
i wali w okna kołbami i budzi.
Do brooni!!!

Księżyc stanął wśród słuchaczy,
i patrzy w oczy, czy lęk w nich zobaczy?
Za oknem buty niemieckie podkute
próbują zgłuszyć tę pobudki nutę.
Za chwilę płomień jej na proch przeskoczy...
Księżyc dłoń podniósł blasku. Błysły oczy.
I gniew... wybuchnął...

Brzozowa dziewczyna
podnosi świtu chorągiew czerwoną.
Polonez rusza znów. I wiatr zaczyna
grać ludzkim drzewom; olchom i jesionom,
Lecz nowa nuta to i ludzie nowi...
Gdzież sosny, w rudych kontuszach wąsacze?
Idą sękaciki kowale dębowi,
idą dziewiarki — wierzby, graby — tkacze,
kłon — pastuch rzucił białych glogów stado,
olcha bieliznę chmur w strumieniu prana...
Żywcica tętnią serca. Drzew gromada
płynie polonez w nadchodzące rano...

Umilkły palce, lecz... Czy wierzyć oczom?
Drzewa się tłumnie do pokoju tłoczą
i porywają nas i kroczy w świty
polonez polnej Rzeczypospolitej.
Wierzba, olchami, dębami, brzozami
idziemy w chmury widnokrąg przed nami,
przez wiek kroczyliśmy wieczni ludzie — drzewa.
Oto polonez! Niech go czas dośpiewał



W związku z uchwałami Światowej Rady Pokoju oraz UNESCO o uczczeniu w roku bieżącym 350 rocznicy urodzin genialnego malarza holenderskiego Rembrandta, Muzeum Narodowe w Warszawie organizuje w połowie marca bieżącego roku dwie okolicznościowe wystawy prac wielkiego malarza i jego uczniów.

Na zdjęciu: Rembrandt — profesor Tulp. Fragment obrazu — „Wykład anatomii prof. Tulpe”. CAF.

Na ekranach naszych kin



„CZYSZCIBUTY” — film produkcji hinduskiej. Reżyseria: P. Arory. Na zdjęciu: Jedna z końcowych scen filmu.

„KUCHENNE SCHODY” — film produkcji francuskiej. Reżyseria Carlo Rima. Na zdjęciu: Jedna ze scen filmu.

CAF — CWP

Poznajemy Burgtheater z bliska

Z BURGTHEATREM zawarłem krótką, ale owocną znajomość przed kilku miesiącami w czasie parodniowego pobytu w Wiedniu. Austria właśnie przeżywała miodowe tygodnie swej niepodległości; tym radośniejsze były manifestacje z okazji otwarcia odbudowanych w historycznym kształcie architektonicznym, ale z nowoczesną sceną i widownią, gmachów Burgtheateru i Opery, zniszczonych i spalonych w roku 1945 ostatnimi bombami wojennymi.

Przeżywałem wraz z tłumem wzruszonych wiedeńczyków ich niemal państwowe święto z okazji otwarcia Opery. Zjazd gości z całego świata: fraki, suknie balowe; tłumy stoją godzinami na Ringu — ciągu alei okrażających stare miasto — słuchają muzyki Mozarta i oceania, co z tradycji się uchowało. Na wystawach sklepowych torebki damskie, jedwabne szaliki, chustki i wiytowe krawaty z wytłoczoną lub wymalowaną sylwetką gmachu Opery. A niedaleko od niej, też przy Ringu, za gmachami dawnego dworu cesarskiego, za parlamentem, naprzeciw ratusza — w Burgtheaterze idą właśnie trzy pozycje z „cyklu otwarcia”.

Oglądałem „Don Karlosa” Schillera, „Torquata Tassa” Goethego, „Utracjusza” Ferdynanda Raimunda. W sam dzień inauguracji grano jeszcze „Triumf i upadek Ottokara” Grillparzera; już po moim wyjeździe wszedł do repertuaru „Koncert” Hermanna Bahr’a.

Od przedstawienia „Don Karlosa” wieje jakiś dostojny chłód. Skupia moja uwagę przede wszystkim wielkie mistrzostwo aktorskie Wer-

nera Krausa, grającego Filippa II.

Dramat Goethego o Torquacie Tasso, który, oczywiście, znam z poetyckiego przekładu L. H. Morstina, ale który nigdy mnie nie „brał” teraz oglądany w wykonaniu Burgtheateru, staje się interesującym przedstawieniem dzięki szlachetnie konwersacyjnemu tonowi dialogów i opanowanej, skupionej grze, stanowiącej tło dla szamotań się Tasso.

Ale najciekawszym przeżyciem stało się opracowanie inscenizacyjne wieloodstonowego „Utracjusza”, baśniowej śpiewo-gry Raimunda, napisanej w r. 1834, granej od razu w ludowych teatrzykach przedmieść Wiednia i z biegiem lat — jako dzieło klasyczne — wprowadzonej do repertuaru Burgtheateru. Tu, w tej przypowieści, ośmieszającej arystokrację i głoszącej pochwałę idealowi drobnomieszczanek, którym sorczyją dobre wróżki, w charakterze tego utworu i



Na zdjęciu: dwoje bohaterów komedii „Koncert”: sławny pianista Heink (Atilla Hoerbiger) i jego uczennica Eva (Mona Dubois).



w jego formie przetamują się pozostałości stylistyczne teatru dworskiego z protestem ludowej prostoty i roz-

tropności. Tej typowo wiedeńskiej, której protoplastą był austriacki Hanswurst (jakby nasz Sowłdzdrzał), spojroniony z bohaterami komedii dell'arte. I tę oryginalność utworu inscenizacja Burgtheateru szczęśliwie zachowała, zarysowując wspólny dystans reżysera i widza do tego śpiewanego malowidła dawnej epoki. Nie poszła na jego przetworzenie w nowej formie jak to u nas, jeszcze w latach międzywojennych bywało z adoptowanymi na różny sposób wolewylami, w typie „Królowej przedmieścia”.

Te trzy przedstawienia były bardzo pouczające dla poznania charakteru Burgtheateru i wprowadziły skąpo, ale dostatecznie ilustrowały wiedzę o dziejach i pozycji tej sceny, tak ważną odgrywającą rolę w historii nowoczesnego teatru europejskiego. A tę wiedzę można było właśnie w jesieni ub. roku zacerpnąć z niezmiernie wartościowej wystawy historycznego teatru europejskiego, od antyku do współczesności, zorganizowanej w wiedeń-

skim Pałacu Sztuki przy Placu Karola. Na tej wystawie słusznie wyeksponowano rolę Burgtheateru jako podobną do tej, którą spełniała starsza i czelgodniejsza od niego Comedie Francaise, głośny Dom Mollera.

Burgtheater jako scenę narodową, ale realizującą politykę kulturalną cesarskiego dworu, powołała do życia w r. 1776 cesarzowa Maria Teresa; otoczył opieką tę scenę jej następca Józef II, wyznawca światłego absolutyzmu. Mogła więc umocnić się pozycja tego teatru, skupiającego przede wszystkim co najlepsze aktorów wielu scen ludowych, działających od pierwszych lat tego stulecia.

Występy Burgtheateru w Polsce, grającego w Warszawie i w Krakowie „Intrygę i miłość” Schillera oraz „Koncert” Hermanna Bahr’a, wita nasze społeczeństwo nie tylko z wielkim zainteresowaniem, ale i z prawdziwą sympatią. Niedługo będzie bo w Warszawie dzieje Burgtheateru włączyły się z historią naszego teatru czy to poprzez gościnne występy ich aktorów w Polsce, czy uczucia przyjaźni Antoniny Hoffmann z czołową artystką Burgu — Karoliną Wolfer. Na ich scenie grano Tadeusza Rittnera i przed trzydziestu laty „Nieboska komedia” Krasliskiego. Ich dramaturgia, utwory Nestrova, Bahr’a, znajdowały się w rękach aktorów w naszych znakomitych aktorach.

Spotkamy się z Burgtheaterem wkrótce i w Wiedniu, gdy na ich zaproszenie wyjedzie tam w maju krakowski Stary Teatr z „Lałem w Nohant” Jarosława Iwaszkiewicza i z „Słubami panienskimi” Fredry.

STAN, WITOLD BALICKI

Książka o wielkiej przygodzie

TESKNOTA za wielką przygodą — to cecha młodości. Egzotyczne podróże, pokonywanie niebezpieczeństw, przykłady hartu woli i siły ducha, bohaterstwo i nieustraszona odwaga — oto najczęstsze elementy przeżywanego przygody. Ci, którym stać na przeobrażeniu fantazji w rzeczywistość, wędrują pieszo dokoła świata, objeżdżają kulę ziemską rowerem, zaciągają się na służbę okrętową, przylatują się do różnego rodzaju badawczych i naukowych wypraw. Ci, którym nie stać na pokonanie piętrzących się trudności, chłoną wielką przygodę na pokazach filmowych i z kart książek. Jedną z takich książek, jest Thora Heyerdahla „Wyprawa Kon-Tiki”.

Czytelnik znajdzie w niej wszystko, co tylko może podniecić ciekawość dalekiego świata i żądzę niezwykłych przeżyć.

Wyprawa Kon-Tiki — który to imieniem, jednego z peruwjańskich bożków, ochrzczono tratwę — nie miała na celu jedynie przeżycia zwyczajnej, emocjonującej przygody. Nie była ona też czysto sportowym wyczynem w rodzaju samotnej podróży

Allain Gerbault przez Atlantyk. Założeniem jej było odwodnienie, na realnym przykładzie, teorii naukowej o przedostaniu się pierwotnych mieszkańców Ameryki Południowej na wyspy Pacyfiku. Norweski uczoney Heyerdahl — któremu żadne towarzystwo naukowe nie chce wydać książki wysuwającej tę niedorzeczną według wszystkich teorii — pokonuje wszystkie piętrzące się przed nim trudności, doprowadza zamiar do skutku i potwierdza faktami swoje przypuszczenie. Podobnie jak on, młodzi szańcy dzisiejszego Peru mogli docierać do wysp archipelagu przez pustynie wodną, pełną rekinów i najdzierzniejszych stworzeń morskich.

Wyprawa Kon-Tiki uczy, że aby przeżyć wielką przygodę niekoniecznie musi się uciekać z domu i bez celu waleśać się po świecie; pokazuje też, że można zdobyć pieniądze innymi sposobami, niż to czynią bohaterowie filmu „Przed potopem”; udowodniła wreszcie, że połączenie naukowych celów z wielką przygodą w niczym nie umniejsza jej atrakcyjności ani intensywności niezwykłych przeżyć.

Relację Heyerdahla o jego wyprawie czyta się jednym tchem. Opisy przygód szczęśliwych śmiałości, pokonujących na kruchej tratwie bezkresny ocean, porywają nie mniej od przeżyć bohaterów powieści Juliusza Verne czy słenkiewiczowskich — Stasia i Nell „W pustyni i w puszczy”. Spotkania z nieznanymi mi na innych wodach mieszkańcami morskimi Pacyfiku przykuwają uwagę nie mniej silnie od opisów egzotycznych łowów. Trzymiesięczne życie na tratwie, oddalonej do pełni od świata, wydaje się nie mniej interesujące i barwne od historii Robinsona na bezludnej wyspie. Wszystko to sprawia, że „Wyprawa Kon-Tiki” jest książką, którą można polecić każdemu młodemu duchem czytelnikowi.

acz.

*) Thor Heyerdahl. Wyprawa Kon-Tiki. Przekład z norweskiego. Państw. Wyd. „Iskry”. Warszawa 1953. Str. 231. Cena 14,40 zł.



ZESPÓŁ PIESNI I TANCA „WARSZAWA”.

Na zdjęciu: Final przedstawienia — „Karuzela”. CAF — fot. Zygm. Wdowiński.



Poczta Republiki Austriackiej dla uczczenia dziesięciolecia wyzwolenia wydała spe-



cialną serię znaczków pocztowych. Na znaczkach tych przedstawiono: Parlament (70 gr — fioletowy), Dworzec Zachodni (1 szyling — niebieski), flagę austriacką w formie słowa Freiheit (1,45 szyl. — czerwony), nowoczesne osiedle mieszkaniowe (1,50 szyl. — brązowy), oraz na ostatnim znaczku tamę wodną w Linzberg (2,40 szyl. — zielony). Znaczkami te wydrukowano techniką stalorytową według projektów artysty - malarza Alfreda Chmielowskiego przy współpracy artysty - malarza Augusta Schmidta. Na wszystkich znaczkach znajduje się w środku herb Republiki Austriackiej, oraz daty 1945 — 1955. dr Zygmunt Konarzewski

Polskie karty pocztowe wędrują na cały świat

Centrala Handlu Zagranicznego „Prasa i Książka” eksportuje do różnych krajów świata miliony artystycznych kart pocztowych. Wielkim powodzeniem cieszą się na rynkach zagranicznych wydane przez „Sport i Turystykę” karty przedstawiające stroje ludowe z różnych regionów Polski. Wiele nabywców znajduje wydany przez „Sztukę” cykl ilustracji Andriollego do „Pana Tadeusza” oraz barwne pocztówki z widokami Starego Miasta w Warszawie jak również cykl rysunków A. Ulechowskiego poświęcony starej Warszawie.

Ostatnio nadeszło ze Stanów Zjednoczonych zamówienie na kilkadziesiąt tysięcy pocztówek m. in. z reprodukcjami wycinanek ludowych oraz na karty z życzeniami świątecznymi.



REBUS WIROWY

Wyrazy, objaśniające znaczenie rysunków, należy napisać na obwodzie koła w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara.

Rozwiązanie rebusu należy odczytać w kierunku przeciwnym.



U w a g a: w rebusie jest ukryta nazwa zawodu.

SZARADA

Pierwsze — trzecie to zwierzęta, Ryby — raz — dwa — trzecie, Dobry dorsz w dwa — trzy chrzanowym, A karp w galarecie.

Termin nadsyłania rozwiązań — 10 dni.

Rozwiązania prosimy kierować do naszej redakcji z dopiskiem na kopertach: „Rozrywki umysłowe”.

Wśród osób, które nadesłały prawidłowe rozwiązanie przynajmniej jednego zadania rozrywkowego, zostaną rozlosowane nagrody książkowe.